Rok XXIV. We Lwowie, dnia 6. lipca 1917. Nr. 27.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 15·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 84.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

O solidarności — słów kilka.

Wobec zadań, czekających duchowieństwo katolickie w Polsce w latach najbliższych, w okresie powojennym, narzuca się kwestya bardzo żywotna, wymagająca obszerniejszego i gruntownego omówienia i załatwienia (o ile możności) rychłego. Jest nią sprawa solidarności wśród duchowieństwa.

Braku solidarności u nas dowodzić nie trzeba. Dowodów w tej materyi — legion, dowodów bardzo przykrych dla każdego, kto nad nimi chce się zastanowić i liczy się z perspektywą najbliższej przyszłości. Już przed wojną odzywały się głosy, wskazujące sposoby, które miały zapobiedz rozbiciu i spajać nasz kler polski w Galicyi. Okazały się jednak te leki nieodpowiednimi do naszych warunków. Czasem wprowadzały nawet głębszą dysharmonię i zrażały jednych i drugich.

Ale najprzód — czy rozumiemy wszyscy potrzebę solidarności i czy zdajemy sobie sprawę z jej dla nas znaczenia?

Ludzie świeccy niejednokrotnie zwracają uwagę na nasze rozbicie, a wrogowie nasi cieszą się z niego. Przed kilku tygodniami adwokat jeden (życzliwy zresztą klerowi) z taką siłą przekonania napiętnował mi ten brak spójności wśród nas, tak trafnie wskazał na niebezpieczeństwo, zagrażające nam z tej strony wobec trudności zadania naszego w przełomowym okresie pracy powojennej, że uderzony byłem słusznością jego wywodów i „połknąłem“ niejedną przykrą refleksyę.

Czy tak jest istotnie? Czy tyle wagi przywiązywać należy do tej sprawy?

Zastrzegam się wszakże, że bynajmniej nie myślę odnawiać obszernej, a — zdaje się — dotąd bezowocnej dyskusyi na temat „młodych i starych“, czyli wspólnego pożycia proboszczów i kooperatorów.

Chodzi tu o postawienie sprawy szersze.

1. Dla kapłana jako jednostki — kwestya solidarności wśród duchowieństwa ma znaczenie doniosłości ogromnej. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że „samotność wykrzywia charakter i rozgorycza, bo każdy potrzebuje wytchnienia, ochłody, pociechy, ciepła“ [1]), a przedewszystkiem: oparcia i zrozumienia. I ileż razy zwłaszcza w życiu młodego, wrażliwego księdza odbija się brak w tej dziedzinie tak bardzo fatalnie. — Czasem bowiem wszystko tak się składa, że on najmniej czuje się ogniwem w organizacyi duchownej, gdyż ci, z którymi w najbliższem sąsiedztwie kondekanalnem żyć mu wypadło z woli Bożej — są mu zupełnie obcy. Żadnej poważniejszej stycznej z nimi znaleźć nie może, bo wszystkie wysnute z wizyt konwencyonalnych, odpustowych i t. d. nie kwalifikują się do nawiązania tych stosunków, jakich pragnie jego kapłańska dusza.

2. Ale jeszcze daleko poważniejsze następstwa pociąga brak solidarności dla całego stanu duchownego. Następstwa te mają tyle rozgałęzień, ile jest łączników między duchowieństwem a społeczeństwem.

a) W dziedzinie duszpasterstwa. — Począwszy od obrzędów, przepisów liturgicznych, skończywszy na prowadzeniu bractw i stowarzyszeń katolickich, ciągłe tylko powtarzanie: „Ego sum“... Każdy na swoją rękę. Co parafia, to inny zwyczaj, inny rozkład nabożeństw, inny zakrój pracy w związkach. Brak porozumienia i wzajemnego zrozumienia na każdym kroku. Niema ciągłości w pracy i konsekwencyi, a co za tem idzie, brak rażący owoców z wysiłków odosobnionych. O ile to możliwe (w stosunkach różnorodnych przecież pod niejednym względem) — musimy dążyć do jak najściślejszej koncentracyi pracy i ujednostajnienia wszystkich zakresów duszpasterskiej gospodarki w kościele, szkole, sali zebrań parafialnych i t. d.

---

[1]) Kazim. Zdziechowski: „Przemiany“. T. II. str. 266.

b) Odnośnie do polityki i pracy społecznej ludzi świeckich — niemniej musimy iść równomiernie i porozumiewać się wzajemnie a priori, by wobec nastręczających się sposobności mieć nietylko gotowe zdanie o sprawach aktualnych, ale umieć „znaleźć się", odpowiednio postąpić i zarządzić. Zwrócę tylko uwagę na rozbicie akcyi w kierunku stworzenia organizacyi katolickiej. Dlaczego nie przyświeca nam myśl (jedynie racyonalna) stworzenia jednolitej, wielkiej, obejmującej całą prowincyę kościelną (a da Bóg, wnet całą wolną Polskę) organizacyi? Dlaczego ciągle ten „ruch drobinowy", te związki dyecezyalne i pisma dyecezyalne, wiodące żywot suchotniczy po jakimś czasie?

Temu winno: rozdrabnianie. Siły podzielone — nie są nawet połową sił...

c) W ruchu oświatowym zaważylibyśmy bardzo poważnie, gdybyśmy szli zwartym szeregiem, gdybyśmy poczuwali się do obowiązków jako część inteligencyi polskiej i mieli urobiony, pewny, swój sąd o różnych przejawach w tej dziedzinie. — Musimy się z tem liczyć, że w czasie powojennym czytelnictwo wzmoże się znacznie i z tym objawem załatwić się nie będziemy mogli metodą absencyi czy dolce far niente. Naszym obowiązkiem jest szerzyć zdrową oświatę także poza kościołem[1]), mieć w swych rękach czytelnie, nakłady dzieł z wszelkiego zakresu wiedzy, mieć drukarnie i księgarnie katolickie pod naszą kontrolą. Gdybyśmy chcieli zrozumieć, ile złego poza naszemi plecyma działa gazeta i książka anty- i a-religijna, gdybyśmy naprawdę trzymali rękę na pulsie naszego życia narodowego, może uznalibyśmy potrzebę solidarności celem wydatniejszej pracy i przygotowania jaśniejszej przyszłości.

d) Także dla materyalnej przyszłości narodu, dla unarodowienia i podniesienia naszego handlu i przemysłu — nasza dobrze uświadomiona solidarność bardzo dużo zdziałać może. Gdybyśmy jako silna, zwarta organizacya chcieli obrać sobie wspólne wytyczne w stosunku do firm, spółek i prądów handlowych i przemysłowych, gdybyśmy akcyą jednolitą, zgodną, ujętą w pewne określone ściśle wspólne formy działania, wpływali na lud w kierunku odchylenia prądu żydowskiego, z pewnością jedną z bardzo pokaźnych cegiełek dorzucilibyśmy do odbudowy trwałej naszej ukochanej Ojczyzny.

* * *

To tylko kartka ze szkicownika...

Pragnąłbym, by Czcigodni Bracia żywiej zajęli się problemem solidarności kleru, lepiej odemnie wywnętrzyli się, lepiej ujęli kwestyę i tą drogą, na łamach jedynego naszego organu przygotowali podstawy pod organizacyę ścisłą kleru polskiego w ogólny Związek księży polskich.

Wobec powagi zadań, jakie nas czekają, nie możemy nadal trzymać się zasady: „laissez faire", ale musimy pomyśleć, jakby się umocnić w tych czasach, kiedy tak wiele potęg się chwieje, jakby przy pomocy Bożej — dowieść niespożytej siły Kościoła św. Im więcej na seryo i wcześniej zabierzemy się do tej pracy, tem więcej atutów zostanie w naszych rękach.

[1]) „Euntes docete omnes"!

Nie myślę — broń Boże! — robić zarzutu, jakoby Duchowieństwo polskie mało robiło dla Kościoła i Ojczyzny, ale boję się, że coraz mniejsze będą nasze wpływy i owoce naszych wysiłków, jeżeli tak dalej będziemy różniczkować się, dzielić, odosabniać, jeżeli nie stworzymy dobrze obmyślanej organizacyi całego kleru polskiego.

Czy słuszna to obawa?... *X.*

Po naszemu czy po rzymsku?

(Kilka uwag nad dziełem X. Piotra Mańkowskiego „Po naszemu").

Oświadczenie Recenzenta tego dzieła, zamieszczone w nr. 24. „Gazety Kościelnej", iż „z bardzo bogatej osnowy dzieła wyjmuje na razie parę tylko szczegółów"[1]), upoważnia do zabrania jeszcze raz głosu w tej sprawie, zwłaszcza że chodzi o kwestyę zasadniczą, którą jest sama tendencya Autora. X. M. napisał bowiem to dzieło po prostu w tym celu, aby utrącić Rytuał piotrkowski i nasze starodawne zwyczaje.

Dlatego to stawia zasadę, że to tylko dobre i w praktyce dopuszczalne, co ad iotam zgadza się z praktyką rzymską i dekretami św. Kongr. Obrzędów. Dlatego występuje przeciw przyjętemu u nas zwyczajowi exponendi i reponendi Samum (ze śpiewami z monstrancyą w ręku po polsku „O Przenajświętsza Hostya". „Przed tak wielkim") — chciałby wyrugować z kościołów śpiew polski ludowy — jest zdeklarowanym przeciwnikiem Mszy cum expositione Ssmi, — wystawienie Puszki na tronie nazywa „rzeczą nieestetyczną" (?), — nieszpory i jutrznia (i to z 3 nokturnami!) mają być śpiewane po łacinie; nieszpory polskie nazywa „parodyowaniem rzeczy tak czcigodnej" i z oburzeniem woła: „Co za śmiałość niesłychana"! W czasie Mszy śpiewanej ma chór lub organista wyśpiewać nie tylko części stałe (Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus etc.) — ale i części zmienne (Introit, Graduale, Offertorium, Communio) i to dosłownie tak, jak we mszale na dany dzień przepisane. Skrócenie lub opuszczenie jakiejś części nazywa grzechem contra iustitiam.

Aby przekonać czytelnika, że tylko tak może być a nie inaczej, wyszukuje Autor dowody nie tylko z przepisów kościelnych, ale i ex ipsa rei natura (str. 179), czasem nawet ucieka się do ośmieszania i ironii. Gdyby koniecznie lud musiał śpiewać po polsku „Przed tak wielkim" niech równocześnie organista śpiewa po łacinie „Tantum ergo" (!). W braku przekonywających dowodów ucieka się Autor do naciągania dekretów św. Kongr. Obrz.[2]), jużto generalizując dekrety partykularne,

[1]) Kilkadziesiąt bardzo trafnych uwag o różnych nadużyciach w liturgii dobrzeby było zebrać razem i podać czytelnikom G. Kość.

[2]) Za bardzo słaby argument uważam powoływanie się na dekret Tarnovien, iż nie wolno błogosławić na słowa „Sit et benedictio", a to dlatego, że w zapytaniu przedstawiono fałszywie naszą praktykę; — my błogosławimy na słowa „Niech Duch św. błogosławi". Za dowód, jak w Rzymie dziś jeszcze mało znają nasze stosunki, niech posłuży fakt, że przy aprobacie kalendarza w roku 1914, św. Stanisławowi Bp. przyznano w dyecezyi lwowskiej ryt.

które przecież „per se illo tantum obligant, ad quos diriguntur [3]), jużto pomijając milczeniem dekrety sobie nieniewygodne. Tak n. p. żąda, aby celebrans brał monstrancyę klęcząco z rąk dyakona stojącego i odwrotnie, choć dekret n. 3975 mówi: *Juxta praxim Romanam* diaconus Ostensorium celebranti tradere et ab eodem recipere potest, *utroque stante*, lub gani długie koronki u alb, a przecież dekret 3804 pozwala na koronki *a cingulo deorsum*; albo wbrew dwom dekretom (3680, 4048), które pozwalają podszywać pod koronką textile cuiuslibet coloris, każe dawać czarne podszycie; to znów nie pozwala Puszki chować w tabernakulum t. zw. Ciemnicy, chociaż „Memoriale rituum" tam właśnie każe ją umieścić; rubryka mszalna mówi, iż kapłan medium stolae imponit *collo*, a autorzy radzą stułę obszywać wązkiem płócienkiem, by się nie brudziła; — X. M. nie podoba się to płócienko, więc poleca „włosy strzydz i szyję myć", a stułę każe zarzucać na plecy, albo przyszyć do niej jakąś podwiązkę(!). — Jak nazwać taki sposób traktowania rzeczy, niech sam Czytelnik osądzi.

Przyznam się, że mnie nasz sposób obchodzenia się z Najśw. Sakramentem nie razi, bo dla mnie kapłan jest nie tylko „przewodnikiem wspólnej adoracyi", jak chce Autor, ale też pośrednikiem między Chrystusem a ludem. Bierze więc tego Jezusa w swe ręce i zwraca się z Nim ku ludowi, jakby chciał Go doń zbliżyć i razem z ludem rozpoczyna wspólną prośbę: „O Przenajśw. Hostyo, broń nas od nieprzyjaciół, dodaj nam sił i mocy", albo słowy: „Przed tak wielkim i t. d." wzywa lud do oddania najgłębszej czci temuż Jezusowi. Jak znów rzewnie i majestatycznie przedstawia się ten obrzęd, gdy kapłan-pośrednik prosi Najwyższego Arcykapłana o błogosławieństwo dla wiernego ludu: „Pobłogosław lud Twój, Panie, co się u nóg Twoich ściele", lub owem prześlicznem trzykrotnem „Salvum fac populum Tuum, Domine!".

Dwaj Jezuici, jeden z Holandyi, drugi z Belgii, odbywali studya teologiczne w Krakowie. Jednego roku byli na procesyi Bożego Ciała w Chyrowie. Widzieli to „nasze" tak przez Autora deptane „O Przen. Hostyo" i „Salvum fac" i unosząc się nad pięknością tych obrzędów, pytali zdziwieni: „A czemużeście to skasowali w Krakowie?". Kto w tych obrzędach chce widzieć coś dziwnie wzniosłego i wzruszającego — ten to zobaczy i odczuje; kto atoli pragnie dostrzedz w nich tylko akt rzekomego buntu przeciw wyraźnej woli Kościoła, a może i coś śmiesznego — niechybnie to tylko zobaczy, bo *quidquid recipitur, ad modum recipientis recipitur*.

Co dotyczy śpiewu ludowego, dziwi mię, iż Autor nie chce zrozumieć, że nie chodzi o martwą literę prawa, ale o chwałę Bożą. A kiedyż Bóg ma więcej chwały: czy wtedy, gdy lud śpiewa serdecznie i poczciwie pieśń, którą rozumie i która dlatego właśnie, że przezeń dobrze zrozumiana, rozpala serce jego miłością Bożą i „ad invisibilia rapit" (qui cantat, bis orat!) — czy gdy organista śpiewa coś, czego ani sam ani nikt z obecnych nie rozumie? Znieśmy śpiew ludu, a na sumie, która dziś tem właśnie, że śpiewana, tak ludzi pociąga, że nawet za grzech mają jej opuszczenie, choćby wysłuchali cichej Mszy św., a cóż się stanie z naszymi kościołami? Będą świeciły pustką, boć ten lud nie umie czytać — śpiew dla niego całą modlitwą! Czemuż autor nie chce zrozumieć, że *sacramenta sunt propter homines* i dlaczegoż śpiew ludu odważa się nazywać „protestantyzowaniem nabożeństw"?

Z żalem opowiadał ś. p. Arcybiskup Popiel o młodych księżach, którzy zaczęli wprowadzać w jego dyecezyi śpiewy łacińskie i dodał, że gdy przedstawił nasz zwyczaj Leonowi XIII., wielkoduszny Papież ze wzruszeniem odpowiedział: Cieszę się, że u was lud śpiewa. Nie to chciałem usunąć z kościołów, ale śpiewy teatralne. To samo, jak mi mówiono, miał powiedzieć Pius X. do ś. p. kard. Koppa. Faktem jest, że tenże kardynał żądał, aby w czasie wizytacyi biskupiej śpiewał lud pieśni polskie. Można radzić, jak usunąć niestosowności, jak dobrać pieśni, by odpowiadały intonacyom kapłana, a więc np. śpiewy na Gloria i Credo — ale potępić w czambuł śpiew ludu, gdy go nie potępiają ani Biskupi ani Najwyżsi Pasterze, chyba nie godzi się i nie wolno? Nie bardzo też wierzę, iż „ludowi miło i przyjemnie — jek zapewnia Autor — że może tak jak księża w kościelnym języku pochwalić Pana Boga". W najlepszym razie byłoby to tylko sacrificium vociferationis! Że nasze nieszpory nie mają nawet pretensyi być „oficyum liturgicznem", ale zastępują po prostu t. zw. *saluts* francuskie, o tem chyba i Autor nie wątpi. Ten właśnie „nasz śpiew" ściąga lud do kościoła, a odwodzi od karczmy i pijatyki. Nie przeczę, że rzadko stosowane śpiewy łacińskie z okazyi jakiejś uroczystej celebry dodają istotnie splendoru uroczystości. Pewna jednak, że wprowadzone w codzienne użycie, stałyby się przyczyną opustoszenia kościołów i zeszłyby na coś arcykarykaturalnego, bo przecież niepodobna, by jeden organista był w stanie odśpiewać porządnie cały tekst 3 lub 4 Mszy.

Odwoływanie się na Rzym i Włochy nie jest argumentem decydującym, gdyż Włoch choć w części rozumie język łaciński, a mimo to kościoły nawet w samym Rzymie są bardzo słabo uczęszczane. Zresztą przysłowiowe są te nabożeństwa włoskie, postawione na równi z polskimi mostami! [1]) Znany profesor liturgii w seminaryum rzymskiem i współpracownik czasopisma „Ephemerides liturgicae" X. Piacenza, zobaczywszy to „nasze" nabożeństwo w czasie koronacyi w Częstochowie 1910 r., rozpłakał się i rzekł: *„Non homo propter ritum, sed ritus propter hominem"!*

By nie drażnić Czytelników, nie wspominam o innych konceptach Autora, do jakich należy też usunięcie Bożego Grobu i Rorat. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę samego Autora na zwyczaje innych krajów, o których wspomniałem w n. 16 Gaz. Kość. z r. b.

W końcu słówko o zasadzie, wypowiedzianej przez Autora (str. 8, 266), że do przeprowadzania reform nie potrzeba interwencyi biskupa, że „obowiąz-

dpx. 2 Cl., a przemyskiej tylko dx. maj., cho eprosiły o 1 Cl. cum octava jako principalis Patr. Poloniae.

[3]) Por. Gatterer S. J. Liturgica generalis. Oeniponte 1904 str. 41.

[1]) W r. 1905 pisał nasz ksiądz z Neapolu, że w czasie nabożeństwa, które odprawił kardynał arcybiskup miejscowy, organista przygrywał nietylko podczas prefacyi, ale już gdy kardynał śpiewał: Per omnia saecula... Dominus vob.... Sursum corda, Gratias agamus.

kiem naszym jest co prędzej z błędnej drogi zawrócić nie czekając, aż nas za kark wezmą i przemocą poprowadzą". Ej, chyba nie! Bo stróżem liturgii jest Biskup. „In tollendis abusibus ex mente Congregationis SS. Rit. haec serventur: a) abusus in dioecesi vigentes corrigere episcopi est, qui b) prudenter procedat curando, ut populus doceatur et sensim sine sensu ritus debiti introducantur, Itaque magistri caeremoniarum aliique, qui vident in ecclesiis non peragi functiones iuxta rubricas nec observari decreta et resolutiones S. R. C., *adeant loci Ordinarium*, qui stricte tenetur opportunis remediis providere, ut rubricae et S. R. C. decreta serventur". (Decr. gen. 2621)[1]. A zatem nie na swoją rękę, bo z tego wyniknie zgorszenie i konflikt z władzą duchowną, który zazwyczaj kończy się suspenzą, jak się to stało z pewnym głośnym reformatorem śpiewu w Królestwie. „Sposób publicznej modlitwy ma być nakreślony z góry — używam słów Autora, wypowiedzianych naturalnie w innym sensie — własne pomysły możemy stosować we własnym pokoju". (Daj to, Boże)!

Nadmienię jeszcze, że gdzie brakło już innych dowodów, ucieka się Autor z predylekcyą do ironii i sarkazmu, nazywając nasze zwyczaje„ liturgią od ucha, wykonaną z dziwną jakąś i karygodną nonszalancyą". Dzięki Bogu, nasze Duchowieństwo ma inne poglądy. Dało im wyraz na synodzie dyec. w Przemyślu 1908 r., gdzie kilkuset kapłanów jednomyślnie uprosiło Arcypasterza, aby odstąpił od zamiaru urządzenia nabożeństw na modłę krakowską Podobnie postąpił zjazd XX. Dziekanów we Lwowie.

Wspomniałem na wstępie, że Autor chce najwyraźniej utrącić Rytuał piotrkowski. Dlatego powątpiewa o jego legalności, choć ta udowodniona i przez obecnego Arcypasterza warszawskiego[2]) i przez samą św. Kongr. Obrzędów 1908 r. Dla X. M. nie znaczy! nic ani przeszło trzywiekowe[3]) używanie tego Rytuału[4]), ani powaga synodu piotrkowskiego i innych naszych synodów, ani aprobata Prymasa Wężyka i całego Episkopatu polskiego[5]), ani dwukrotne zatwierdzenie przez świątobliwego kard. Dunajewskiego, który przecież znany był z serdecznego przywiązania do Stolicy św. i z dokładnego, dziwnem jakiemś Bożem namaszczeniem owianego sprawowania funkcyi kościelnych, ani powaga tych wszystkich Biskupów, którzy przez trzysta lat tego Rytuału używali. Autor wysuwa wszędzie jedność z Rzymem i posłuszeństwo dla Kościoła św. — Zatem wniosek logiczny, że albo ci wszyscy Arcypasterze nasi nie znali (względnie nie znają) przepisów Kościoła, albo wprost lekceważą wyraźną wolę Stolicy św. A przecież tego Autor nie zechce sam twierdzić!

Książka napisana w formie dyalogu. Sędziwy proboszcz, za dwa miesiące jubilat, bierze lekcye od młodego profesora, od swego wikaryusza i od kleryków! Nie wydaje się to pedagogicznem dziś zwłaszcza, kiedy szacunek należny starszym kapłanom wiele pozostawia do życzenia.

A więc dalej „po naszemu", chyba że reformę zarządzą ci, których Duch św. postanowił Biskupami, aby kierowali Kościołem Bożym, a do których i wierni i my kapłani mamy najzupełniejsze zaufanie.

X. Józef Antoniewicz T. J.

[1]) Gatterer l. c. str. 46.

[2]) Por. Encyklop. kość. X. Nowodworskiego t. 24 str. 1—38 „Rytuały polskie".

[3]) Zatwierdzony 1631, ale wiele obrzędów pochodzi z t. zw. Agendy Abpa Karnkowskiego z r. 1591.

[4]) Jak Rzym szanuje stare zwyczaje, świadczy dekret S. R. C. nr. 2557: Summum non est deferendum super machina, vulgo cassa illuminata, *nisi in eodem loco vigeat antiqua consuetudo*.

[5]) Por. Encykl. kośc. l. c.

Moraliści o zupełnej abstynencyi od alkoholu.

Dążenia abstynentów katolickich wywołują, jak wiadomo, znaczną różnicę zdań także wśród duchowieństwa. Z tego powodu zwróciła się redakcya „Theol.-praktische Quartalschrift" do dwóch wybitnych moralistów z prośbą o wyświetlenie tej kwestyi. Pierwszy wypowiedział się X. Aug. Lehmkuhl S. J. (w zeszycie I. tego czasopisma z r. b), drugi X. Prummer O. P. (w zesz. II.). Sądzimy, że streszczenie tych dwóch rozprawek zajmie i naszych czcig. Czytelników.

Podobnie jak u nas i w innych krajach, tak i w Niemczech sądzą jedni, że chcąc skutecznie walczyć z pijaństwem, trzeba nawoływać do wstrzemięźliwości w używaniu napojów, zawierających alkohol, a do zupełnego wstrzymywania się od trunków palonych; — inni zaś twierdzą, że hasłem naszem powinna być abstynencya zupełna i stawiają nam jako wzór do naśladowania działalność Związku t. zw. „dobrych templaryuszy", którzy występują przeciw używaniu alkoholu w najmniejszych nawet dozach. Na to jednak słusznie odpowiada Lehmkuhl (str. 100), że Kościół katolicki wprawdzie nie odrzuca środków naturalnych, jakich używają stowarzyszenia heretyckie w walce z pijaństwem, że jednak posiada on inne siły wyższe, nadprzyrodzone, które daleko skuteczniej uzbrajają przeciw grzechom i nałogom i prędzej mogą podnieść występnych z ich upadku, niż wszystkie związki i urządzenia, wymyślone przez ludzi.

Abstynenci głoszą w swoich pismach i odczytach, że alkohol nietylko nie jest potrzebny dla zdrowia, ale jest szkodliwy i trzeba go uważać za truciznę, chociażby w najmniejszych ilościach znajdował się w pewnych napojach; — że więc spożywanie go wykracza przeciw cnocie wstrzemięźliwości, z czego wynika, że wszyscy powinni uznać abstynencyę zupełną za swój obowiązek. Co więcej, trzeba uważać ją za obowiązek ciężki dla znacznej większości ludzi z powodu, że miłość bliźniego każe unikać wszystkiego, co może wywołać zgorszenie i zabrania przeszkadzać dobremu, od którego zależy pomyślność ziemska i zbawienie wieczne dusz niezliczonych. Kto bowiem używa napojów alkoholowych, chociażby tylko wina lub piwa i w sposób jak najbardziej umiarkowany[1]), przeszkadza skutecznemu szerzeniu abstynencyi zupełnej pomiędzy tymi, którzy bez niej oddają się pijaństwu i idą na zatracenie doczesne i wieczne.

[1]) „Kto pije trunki umiarkowanie, większe daje zgorszenie, niż pijak nałogowy... bo wprowadza w błąd nieświadomych i prostaczków" pisze Autor brosz. „Budujmy Polskę wewnątrz" (Lwów, 1917, str. 77.

Te jednak twierdzenia musi zakwestyonować teologia moralna.

Że ani wino ani piwo, ani inne napoje, zawierające alkohol, nie są człowiekowi niezbędne do życia, to nie ulega chyba wątpliwości, można dożyć późnej nawet starości o chlebie i wodzie; — ale żadne powagi lekarskie nie potrafią dowieść, że umiarkowane używanie wina nie wywiera korzystnego wpływu na stan cielesny i na usposobienie duchowe człowieka. Wiemy też, że stwierdza to i Pismo św., a zwłaszcza księgi Starego Zakonu, jakkolwiek z drugiej przestrzegają one jak najdobitniej przed piciem nadmiernem: „I rzekły drzewa do macicy winnej" czytamy w ks. Sędziów (IX, 13): „Pójdź, a rozkazuj nam. Która im odpowiedziała: Iżali mogę opuścić wino moje, które uwesela Boga i ludzie i między inszemi drzewy być wysadzona"? — A w Psalmie 103, 14—15 (cyt. w przekładzie X. Arcyb. Symona): „Ty wyprowadzasz trawę dla bydląt i rośliny na użytek ludziom, abyś dostał chleb z ziemi: aby wino rozweselało serce człowieka" itd. Ec. 31, 35—37:

„Wino dla uweselenia stworzone jest, a nie dla pijaństwa z początku. Radość duszy i serca, wino miernie pite. Zdrowie jest duszy i ciała, mierne picie". Przyp. 31, 6: „Dawajcie sycery smutnym, a wina tym, których serce jest w gorżkości". Znamy też pouczenie, którego udziela św. Paweł Tymoteuszowi (I. Tym. 5, 23): „Wody jeszcze nie pij, ale używaj potrosze wina dla żołądka twego i częstych chorób twoich". Wszakże żołądkowi i słabowitemu ciału pomaga się środkami, które dobrze wpływają na ciało, a nie takim, które w najlepszym razie nie przynoszą żadnego pożytku, a z natury swojej są szkodliwe!

Przeciwko tym słowom wyraźnym Pisma św. nie może nic powiedzieć katolik. Ale niektórzy abstynenci[1]) uciekają się do nowej interpretacyi tych wyrażeń: mówią, że wyraz „wino" nie musi tu oznaczać soku winogron, który przeszedł fermentacyę, a więc zawiera alkohol; — może tu być mowa o soku, nie zmienionym przez fermentacyę. Na to trzeba odpowiedzieć, że w niektórych przynajmniej miejscach pism St. Zakonu jest z pewnością mowa o winie, a tak samo w księgach N. Zakonu, gdzie znajdujemy wyraz grecki (i łaciński), oznaczający zawsze napój, który nazywamy winem. Gdyby zresztą św. Paweł rozumiał był przez „wino", które zalecał Tymoteuszowi, sok winny, nie zawierający alkoholu, nie byłby go nikt zrozumiał; bo równie jak dzisiaj, tak i wtedy uważano za środek, wzmacniający i pobudzający żołądek, nie ów sok, ale wino. — Podobnie jest rzeczą oczywistą, że i w Ewangelii, gdzie Zbawiciel mówi o winie, ma na myśli to, co dziś nosi tę nazwę. Także na weselu w Kanie galilejskiej pito niewątpliwie wino, zawierające alkohol, bo przecież „gospodarz wesela" mówi wyraźnie do pana młodego: „Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero, gdy sobie podpiją; ty zaś dobre wino zachowałeś na sam koniec"! (W przekładzie X. Szczepańskiego).

A więc sam Zbawiciel obdarzył gości winem dla pomnożenia radości weselnej; — jakżeż wobec tego mogą fanatycy abstynencyi powtarzać swoje twierdzenie, że wino jest „trucizną"? Twierdzenie to wyglądałoby prawie na bluźnierstwo, gdyby je zastosowano i do cudu w Kanie; a jakżeż da się ono obronić wobec faktu, że na ofiarę N. Zakonu przeznaczone jest także wino obok chleba?

Rzecz naturalna, że abstynenci katolicy muszą godzić się na używanie wina do celów kultu. Jeżeli jednak pomimo tego nie przestają nazywać alkoholu, zawartego w winie, trucizną, jest to zniewagą dla Ofiary Mszy św. która poniża ją w oczach innowierców, a nawet samych katolików. (C. d. n.).

[1]) U nas np. prof. Brochnalski.

Szlakiem wojennym.

2. Warszawa.

Warszawa! Ile zdarzeń wielkich, ile chwil górnych wiąże się ze wspomnieniem tego miasta! Gdym był małem chłopięciem, z rozwartemi źrenicami, z zapartym oddechem słuchałem opowiadań dziadka o stolicy Mazowsza. Mojem gorącem pragnieniem było ujrzeć je i spędzić w niem chociażby godzinę. Warunki jednak nie pozwalały. Dopiero dzisiaj burza wojenna zaniosła tam, dokąd serce z dawna ciągnęło.

Warszawa to miasto wielkie, naprawdę europejskie. Szereg monumentalnych budowli, wodociągi i kanalizacya, hotele z komfortem i restauracye z fontannami pluszczącemi, bogata sieć kolei elektrycznych i nowoczesne urządzenia techniczne wytrzymują próbę najsurowszych nawet wymagań i porównań z zagranicą. Brak tu jednak budowli starych. Niemasz ich tyle co w naszym ukochanym Krakowie, gdzie z każdego prawie węgła, z każdej ulicy woła do nas głos wielkiej, minionej przeszłości. Warszawa ma coś wspólnego z Budapesztem. Jak tam, tak i tutaj miasto nowe rozwija się kosztem starego, wypycha je i przygniata, pusząc się jak paw swoimi „gmachami".

Z dworca wiedeńskiego, budowli poważnej w stylu odrodzenia, zabrudzonej jednak i nie odpowiadającej wymaganiom obecnych potrzeb, zdążałem ulicą Marszałkowską, przez plac Saski na Krakowskie przedmieście. Z prawej i lewej strony bogate sklepy błyszczące lustrami szyb, nęcą przechodnia wspaniałemi wystawami. Przez ulice przepływa moc ludzi strojnych, szykownych, zaciągających po „warszawsku". Turkot kół toczących się po bruku, dzwonki tramwajowe i wrzask sygnałów samochodowych, gwar i hałas — to wszystko wytwarza t. zw. życie ulicy, niczem nie różniące się od wielkich miast europejskich. Jest i tutaj mnóstwo ludzi spieszących, rozgorączkowanych, zdenerwowanych. I zdawałoby się, że pędzi ich jakaś siła nieubłagana, której oprzeć się nie zdołają. A może wielu z tych ludzi spieszących rozumie dobrze, że życie szybko mknie, więc spieszą się, by żyć i użyć?

Kto chce jednak Warszawę poznać lepiej, kto pragnie usłyszeć jej głos szacowny, musi oddalić się od tej wrzawy, od tego miasta nowoczesnego, — a wejść w miasto stare. I tutaj w ciszy, skupieniu — słuchać, oglądać i dumać.

Zacznijmy od Rynku. Rynek starego miasta, zachował do dziś jeszcze charakter 17-go wieku. Zabudowany jest w kwadrat kamienicami wązkiemi od frontu o trzech lub czterech okna najwyżej. Ciemna sklepiona sień i schody kamienne, ładne okucia drzwi i kratki nadprożne, charakterystyczne wykusze (dzisiaj nazwaćby je można łożami

okratowanemi) i podwórka wewnętrzne — to wszystko nadaje Rynkowi specyalny wygląd. Każda prawie kamienica ma swoją kronikę, z każdą wiążą się dzieje patrycyatu warszawskiego, takich Baryerków i Falkiewiczów, Gianottich i Fukierów.

Z Rynku skręciłem na ulicę Świętojańską. Jest to wązka i ciasna uliczka, starannie utrzymana, najstarsza w mieście. Kiedym przechodził tą ulicą, myśli moje oderwały się od tego, co mię otaczało, wprowadzając w jakiś świat inny, miniony. Ta wązka uliczka zaludniła się, zaroiła się jakiemiś postaciami 16-go wieku. Nie zapominajmy, że ulica ta łączy Zamek królewski z katedrą. Cała przeszłość barwna stanęła mi przed oczyma. Mignęły kolorowe żupany atłasowe i ferezye szkarłatne sobolami podbite, czapki złotogłowe i cenne zapony przy piórach żórawich. Błysnęły w słońcu buzdygany i szable sadzone turkusami, czapraki haftowane złotem w kwiaty i strzemiona srebrne. Widziałem ich, jak na cudnych koniach, spokojni, poważni jechali do katedry. A kiedym się zbliżał do kościoła, widziadła zaczęły powoli znikać, rozstępować się, jak gdyby czyniły miejsce nam młodym.

Wstąpmy za nimi do tego najstarszego kościoła w Warszawie, do katedry św. Jana. Z początku był to mały, drewniany kościół. Z czasem zamieniono go na kaplicę książąt mazowieckich. W 14-ym wieku nadano wymiary kościołowi takie, jakie posiada dzisiaj. W r. 1840 przebudowano kościół w stylu angielskiego gotyku. Wnętrze o trzech nawach wspartych na wysokich filarach gotyckich. Wielki ołtarz w stylu odrodzenia, ładnej, snycerskiej roboty wystawiony kosztem Zygmunta III. ma piękny obraz Jakóba Palmy (młodszego). Szkoda tylko, że ciemne prezbiteryum nie pozwala na dokładne obejrzenie i ocenienie piękności tego niepospolitego dzieła malarskiego. Obraz przedstawia N. Pannę otoczoną wieńcem Aniołów, poniżej postaci św Jana, patrona kościoła i św. Stanisława biskupa. Po lewej stronie prezbiteryum kaplica cudownego P. Jezusa, do którego lud warszawski ma wielkie nabożeństwo. Obok kaplicy P. Jezusa z wejściem z lewej nawy kaplica N. Sakramentu z czarnego marmuru. Po prawej stronie kaplica N. Panny Niepokalanego Poczęcia z oddzielną zakrystyą, zwaną kaplicą „Literacką“. W kościele kilka pomników, najpiękniejszy Stanisława Małachowskiego, marszałka, wykonany według rysunku Thorwaldsena. Prześliczny fronton katedry zasłonięty brudnemi kamienicami żydowskiemi.

Z innych licznych kościołów zasługują na obejrzenie kościół św. Krzyża przy głównej ulicy Krakowskie Przedmieście. Zbudowany w stylu odrodzenia, z piękną fasadą w stylu baroku włoskiego, należy do bardzo uczęszczanych. Nad dzwiami wchodowemi wizerunek Chrystusa dźwigającego krzyż, figura pięknie wymodelowana i z cementu odlana przez A. Pruszyńskiego. Wewnątrz ambona żelazna, prawdziwe arcydzieło sztuki kowalskiej, wykonane przez braciszka misyonarskiego. Kościół P. M. Łaskawej z wieżą barokową, kościół pokarmelicki, w którym znajduje się obraz Correggia „Chrystus w koronie cierniowej“, kościół Wizytek, najpiękniejszy w Polsce zabytek francuskiego „rococo“.

Z katedry kilka minut drogi do Zamku królewskiego. Nie przypuszczali książęta mazowieccy, że na tem samem miejscu, kędy stał niepokaźny książęcy dworek drewniany, kiedyś stanie wspaniały zamek — siedziba królów Polskich. Stało się za czasów Zygmunta III, który przeniósł w r. 1596 rezydencyę królewską z Wawelu do Warszawy. Budowę zamku ukończono w r. 1610, lecz już w 40 lat później Szwedzi doszczętnie złupili rozpoczęte dzieło. Dopiero za Augusta III. przyozdobiono zamek pięknie wewnątrz i z tych czasów zachowały się do dzisiaj — sala tronowa z piętrową galeryą wokoło i sala kolumnowa, należąca do najwspanialszych w tym gmachu; na marmurowych kolumnach ze złoconym bronzem opiera się sklepienie, ozdobione pięknem malowidłem Bacciarellego, wyobraża ono Jowisza, wyprowadzającego świat z chaosu.

Główną ulicę, łączącą Zamek królewski z Warszawą nową, nazwano Krakowskiem Przedmieściem. Tutaj skupia się wszystek ruch i życie, tutaj w godzinach wieczornych wychodzi na promenadę „toute Varsovie“. Przy ulicy tej znajduje się Muzeum Rolnicze i Przemysłu, uniwersytet i główna biblioteka, zawierająca wiele cennych rękopisów. W tym samym gmachu mieści się też muzeum starożytności. Godne uwagi są mumie egipskie doskonale zachowane, szczątki archeologiczne zagraniczne i krajowe wykopaliska. W bocznych pawilonach bogate gabinety naukowe.

Przedłużeniem Krakowskiego Przedmieścia jest Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie, zabudowane pięknymi pałacykami.

U wylotu alei Belwederskiej park Łazienki, ze słynnym pałacem. Jest to prześliczna budowla w stylu włoskiego renesansu, tworząca czworobok z płaskim dachem. U wejścia w westybulu, oświetlonym z góry oszkloną latarnią, cztery obrazy Bacciarellego, symbolizujące sprawiedliwość, litość, mądrość i siłę. Jest to jak gdyby przypomnienie dla każdego króla, jakiemi cnotami ma się odznaczać. Ze sali Salomona, przedstawiającej w malowidłach różne sceny z życia tego króla i z gabinetu zielonego, w którym dawniej było wiele cennych obrazów, przechodzimy do sali balowej, z której okna wychodzą na staw. Nad brzegiem stawu dwie kolosalne figury, z których jedna wyobraża Wisłę w postaci kobiety trzymającej wiosło, druga rzekę Bug w postaci starca dzierżącego róg obfitości. Na stawie przed pałacem oryginalny teatr — właściwie odkryty amfiteatr ze sceną na wysepce. Słowem Łazienki to miejsce naprawdę godne królów.

Wspomniałem już na początku, że miasto samo nie ma charakterystycznych budowli, któreby szczególnie pociągały widzów. Są gmachy wspaniałe, jednak brak im „c z e g o ś“. Być może, że noszą ślady panowania obcego. Kwitnęła Warszawa za czasów Zygmunta i Stanisława Augusta. Z czasem pałace jej pustoszały, a obca przemoc gwałtem zaczęła wciskać w serce polskie sobory prawosławne i pomniki moskiewskie. Jednak nie udała się sztuka. Miasto mimo wszystko pozostało polskiem.

W zeszłym roku miałem sposobność przypatrzyć się bliżej życiu Warszawy. Widziałem i słyszałem ją. Przysłuchiwałem się słowom rektora Brudzińskiego. Była to mowa nie jakaś sztywna, wyuczona, obliczona na efekt. Głos drgał ze wruszenia, dźwięczał zda się łzami, a serce wezbrane miłością buchnęło płomieniem. To nie mówił już człowiek jeden, ale miasto całe.

Przypatrywałem się owej wielkiej manifestacyi listopadowej. Tłumy ludzi, zalewając Krakowskie Przedmieście, płynęły do katedry św. Jana. Przed pomnikiem Mickiewicza żołnierz pruski w pikielhaubie na głowie, w pełnym rynsztunku wojennym, rozwinął chorągiew o barwach narodowych polskich. A tłum, patrząc na to, nie klaskał z radości, ale poważny i skupiony, jak gdyby zatroskany o przyszłość, kierował swe kroki do kościoła, a tam padłszy na kolana, z głębi serca wołał:

„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie"!

X. Struszkiewicz.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z austryackiej Izby Panów. Wielka dyskusya polityczna, która rozwinęła się tam w dniach ostatnich, obfitowała w momenty całkiem niespodziewane i bardzo efektowne. Polscy członkowie Izby, a między nimi J. E. X. Arcyb. Teodorowicz, odparli zwycięsko zarzuty i ciężkie oskarżenia, które przeciwko nam wytaczano i dotąd wytacza się (nawet — niestety — w katolickiej „Reichspost"!), ale część Niemców nie dała sobie wyperswadować swego uprzedzenia. A — co najdziwniejsza sam prezydent Izby ks. Fürstenberg uznał za rzecz potrzebną ująć się za Rzeszą niemiecką przeciw X. Arcybiskupowi i oświadczył, że cały „ton jego mowy" był obraźliwy dla Niemców. Nie dostaliśmy dotąd całego tekstu tej mowy, która ma niewątpliwie znaczenie bardzo doniosłe, ale w obszernem jej streszczeniu, podanem przez dzienniki, nie znaleźliśmy nic, co mogłoby uzasadniać ten ciężki zarzut, o którym tak pisze organ socyalistów „Arbeiterzeitung":

„Uważamy za rzecz nieprawdopodobną, aby ks. Fürstenberg, przewodnicząc, mógł był wejrzeć w stenograficzny protokół mowy, który nie był jeszcze wcale gotów. Wobec tego przywołanie do porządku odnieść należy do jakiegoś spisku osobistości wiernokonstytucyjnych. Powtórzyliśmy dokładnie mowę Arcybiskupa, niema w niej ani słowa do wytknięcia przez prezydenta. To też rzeczywiście dziwny ten przewodniczący nie był w stanie oznaczyć jakiegoś nieparlamentarnego zwrotu w mowie, a dotknęły go tylko ton mowy i ogólny nastrój. W tym wypadku jednak miał prawo zabrać głos przeciw tej mowie i wypowiedzieć swe poglądy jako mowca w dyskusyi, ale jako przewodniczący nie miał prawa do tego rodzaju postępowania. Okazała się tu w całej pełni jego niezdarność parlamentarna, gdyż nie rozumie on, że przewodniczący nie może występować jako członek stronnictwa. Ujemne wrażenie musiało sprawić jeszcze i to że niewłaściwe wystąpienie prezydenta przyjęto w pewnej części Izby oklaskami, zamiast ogólnie je potępić".

Gdyby zresztą nawet który członek parlamentu wyraził się ujemnie o polityce i działalności Niemców, nie możnaby mu odmówić do tego prawa. Podziwiać trzeba pokorę X. Arcybiskupa, którą okazał przez to, że nie odparł stanowczo zarzutu prezydenta i nie pouczył go o jego obowiązkach, ale zapewnił tylko, że nie miał zamiaru obrazić sprzymierzeńców Austryi.

Kurs społeczny w Warszawie. Dzienniki warszawskie donoszą, że stosownie do zapowiedzi, dnia 23 b. m. przybyli do Warszawy księża poznańscy: prałat Mayer, kan. Adamski, kan. Grzęda, sekretarz gen. Dymek, Radoński, Wal. Adamski, którzy rozpoczęli kurs społeczny dla duchowieństwa.

O godz. 11 przed poł. w sobotę 23 czerwca zgromadzili się księża prelegenci i słuchacze w seminaryum metropolitalnem.

Zebranie rozpoczął modlitwą i udzieleniem swego błogosławieństwa w imieniu X. Arcypasterza. X. biskup Ruszkiewicz, X. dr. Hilchen zagaił kurs, wyrażając nadzieję że słuchacze skorzystają wiele, na chwałę Bożą i pożytek ojczyzny. Kończąc, zaproponował na przewodniczącego X. kan. Gniazdowskiego, którego zebrani przez aklamacyę wybrali. X. kan. Gniazdowski wyraził podziękowanie X. biskupowi za wzięcie udziału w kursie społecznym, a jednocześnie czcigodnym księżom prelegentom, którzy, nie zrażając się przeszkodami, przybyli do nas, aby podzielić się swojemi wiadomościami i swojem doświadczeniem. X. przewodniczący zaprosił na asesorów kan. Kobylińskiego i X. prob. Merklejna, na sekretarza zaś X. prof. Brzezińskiego, poczem udzielił głosu X. prał. Mayerowi, który wygłosił referat na temat: „Nowoczesne duszpasterstwo".

Mowca w sposób nadzwyczaj przystępny a gruntowny przedstawił obecny stan duszpasterstwa na Zachodzie, powołując się na źródłową pracę X. Swobody i własne doświadczenie. Wykazał konieczność łączenia się księży proboszczów ze swoimi parafianami, co jest możliwe jedynie przez zwiększenie liczby parafii, aby stosunek proboszcza i parafianina stracił swój urzędowy charakter, a nabrał serdeczności. Podkreślił konieczność brania udziału w organizacyach społecznych i ożywienia działalności organizacyi religijnych i przedstawił działalność różnych kółek Bractwa Różańcowego w Poznaniu. Zwraca uwagę na stosunki wzajemne księży do siebie, na potrzebę braterskiego połączenia się księdza proboszcza i księdza wikaryusza w jednej pracy. Po referacie nastąpiła dyskusya, w której głos zabrali: XX. kan. Gniazdowski, Gąsiorowski, Merklein i dr. Hilchen.

O książki polskie. Krakowski komitet Czerwonego Krzyża dla dostarczenia książek jeńcom Polakom otrzymał w ostatnich dniach liczne prośby od rodaków naszych, przebywających w obozach jeńców w głębokiej Syberyi, Włoszech i Francyi, o książki polskie. Listy te dają wymowne świadectwo tęsknocie, jaka naszych biednych wygnańców pożera. Fundusze, jakie komitet, pomimo kilkakrotnych odezw, zdołał dotychczas zgromadzić, są bardzo niewystarczające, aby zaspokoić duchowe potrzeby naszych jeńców. Zdołaliśmy zebrać zaledwie 600 koron, która to kwota wobec braku tanich wydawnictw, drożyzny polskich książek i niczem nieusprawiedliwionego podwyższenia przez księgarzy ceny książek, wydanych jeszcze przed wojną, o 25 procent, jest znikomo małą.

Komitet zwrócił się w ostatnich dniach do instytucyi bankowych, które na brak gotówki w obecnych czasach chyba żalić się nie mogą, o datki na ten szlachetny cel.

Spodziewamy się, że prośby te nie pozostaną bez odpowiedzi i że biedni nasi wygnańcy, dla których polska książka jest jedyną osłodą i pociechą ich gorzkiego losu, nie będą mieli powodu do słusznego żalu na obojętność polskiego społeczeństwa dla ich moralnych cierpień.

W niewoli przebywają setki młodzieży polskiej, która pragnie kontynuować przerwane studya i pożąda przedewszystkiem podręczników naukowych, aby z nastaniem pokoju złożyć egzamina. Obowiązkiem społeczeństwa jest dopomódz tym nieszczęśliwym do zdobycia odpowiednich stanowisk.

Datki w książkach i pieniądzach przyjmuje komitet w Collegium Novum w Krakowie.

Wszystkie pisma polskie upraszamy o powtórzenie tej odezwy.

Dr. Józef Muczkowski, przew. Komitetu.

Z Wielkopolski. Drobne ustępstwo. W streszczeniu c. k. Biura korespondencyjnego ogłoszone zostało rozporządzenie rządu pruskiego, przywracające częściowo polski wykład nauki religii w szkołach ludowych w WKs. Poznańskiem. Aby rozporządzenie to módz należycie oce-

nić, trzeba najprzód poznać dokładny jego tenor. Rozporządzenie nie zostało w całości dotąd opublikowane, podano z niego tylko obszerniejszy wyciąg w organie kanclerskim „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“, który podajemy poniżej w przekładzie:

„Jak się dowiadujemy, wydał minister oświaty w tych dniach w sprawie używania języka polskiego w nauce religii w szkołach ludowych prowincyi poznańskiej, zarządzenia, które decyzyom jego, wydanym już w szeregu wypadków poszczególnych, nadaje ogólne znaczenie. Już od początku wojny administracya szkolna przywiązywała wagę do tego, żeby w szkołach prow. poznańskiej przywrócono naukę religii w języku polskim tam, gdzie ją z braku mówiących po polsku nauczycieli musiano zawiesić i zastąpić nauką religii w języku niemieckim. Ponadto uwzględniono także wnioski, podane ze strony interesowanej o dopuszczenie polskiego języka w nauce religii na stopniu niższym w kilku przypadkach, w których większa część początkujących uczniów nie posiadała dostatecznej znajomości języka niemieckiego.

Odtąd także bez osobnego wniosku ze strony interesowanej ma być wszędzie tam, gdzie z pomiędzy dzieci, wstępujących do szkoły, część ich niedostatecznie włada językiem niemieckim, dla tych dzieci zaprowadzona na niższym stopniu nauka religii w języku polskim. Jeżeli w jakiej szkole niema po polsku mówiących nauczycieli, udzielanie nauki religii dzieciom po polsku mówiącym powierzone zostanie nauczycielom szkół sąsiednich, lub o ile to nie będzie możliwem, odpowiednim duchownym. Uwzględniając liczbę dzieci, mówiących po niemiecku i tylko po polsku, oraz rozporządzalne siły nauczycielskie, mają rejencye w każdym przypadku bliższe wydawać zarządzenia. Przy przeprowadzeniu tego środka starać się będą rejencye, urzędnicy inspekcyi szkolnej i nauczyciele kierować zasadą życzliwej słuszności (entgegenkommender Billigkeit) i przezwyciężać ewentualnie w poszczególnych przypadkach powstające trudności“.

Rozporządzenie to świadczy bądź co bądź korzystnie o zmianie, jaka zaszła w ostatnich czasach w polityce pruskiej. Ale niepodobna uznać, że Polacy powinni zadowolić się tem ustępstwem, którego wartość jest bardzo wątpliwa z wielu powodów: najpierw odnosi się ono tylko do prowincyi poznańskiej, a nie do Prus zachodnich, do Warmii i Śląska, gdzie są przecież także dzieci polskie, a nawet w niektórych powiatach jest ich więcej niż w Poznańskiem. Po drugie, mówi ono tylko o „stopniu niższym“, kiedy przecież zdrowa pedagogia każe uczyć na wszystkich stopniach w języku dla dzieci zrozumiałym wszystkich przedmiotów, a zwłaszcza religii. Po trzecie nie jest ono dość jasne i stanowcze, ale zostawia szerokie pole dla interpretacyi dowolnej nauczycieli. Oni bowiem sami mają decydować o tem, czy dzieci „niedostatecznie władają językiem niemieckim“, a jeżeli nie umieją po polsku i dotychczas uczyli wszystkie dzieci religii po niemiecku, mogą trzymać się nadal tej samej metody i odbierać nawet za to pochwały i nagrody od inspektorów. Raczej powinno się rodzicom pozostawiać decyzyę o tem, w którym języku dzieci ich mają uczyć się religii. Frazes rozporządzenia ministeryalnego o „życzliwej słuszności“ nie osiągnie celu, jeżeli nauczyciele nie zechcą uczynić żadnego ustępstwa, jeżeli np. nie zechcą „odpowiednim duchownym“ (których dotąd nie puszczano do szkoły) powierzać nauki religii. Nie łatwo jednak będzie zapewne uzyskać od rządu i od sejmu dalsze konieczne reformy w dziedzinie szkolnictwa.

Niechrześcijański obyczaj. Otrzymujemy list następujący: Z przykrem uczuciem kończyliśmy rok szkolny 1916/17. Niedość spustoszeń materyalnych i moralnych, jakie przyniosła wojna, a które odbiły się smutno na nauce i zachowaniu się młodzieży, jeszcze rok szkolny musiał się zakończyć rozdaniem świadectw i rozpuszczeniem młodzieży w dniu 29. czerwca, a więc w uroczyste święto katolickie św. Apostołów Piotra i Pawła.

Każdy choć trochę obeznany z wyjazdem młodzieży na wakacye, pojmie łatwo, że tego wyjazdu nie powinno się wyznaczać na uroczyste święto katolickie, jeżeli nie chce się przyzwyczaić młodzieży do pogwałcenia dnia świętego. Przed kilku laty Związek katechetów ogólnoaustryacki urządził na ten temat ankietę i wniósł przedstawienie do ministeryum oświaty, aby osobnym reskryptem unormowało ferye szkolne z uwzględnieniem niedziel i świąt tak, aby uczniowie nie byli zmuszeni wyjeżdżać lub wracać w niedzielę lub we święto. Rozporządzenie takie zostało istotnie wydane, ale cóż? kiedy w tej maszynie szkolnej nic niema stałego i określonego, a specyalnie w Galicyi.

Gdyby to jeszcze zachodziła jakaś konieczność! Ale gdzie tam! Tyle czasu marnuje się w szkole z powodu różnych przerw w nauce, a tam, gdzie chodzi o uszanowanie dnia świętego, panuje dziwna jakaś bojaźń, żeby wypuszczeniem uczniów o dzień wcześniej nie narazić ich na wielkie szkody.

Ale powie ktoś: o cóż chodzi? Przecie uczniowie byli zrana na nabożeństwie, a potem dopiero otrzymali świadectwa i rozjechali się! Przykazaniu kościelnemu stało się zadość. Właśnie, że nie. Święcenie dnia świętego nie ogranicza się jedynie do wysłuchania Mszy św. Dzień świąteczny nie jest na wyjazdy, które nie są konieczne. Kto się za młodu przyzwyczai do wyjeżdżania we święto po wysłuchaniu Mszy św., ten będzie później wyjeżdżał bez wysłuchania jej, zwłaszcza, gdy przymus szkolny ustanie. Samo zresztą rozdanie świadectw nie odbywa się tak cicho i gładko, jakby się to z daleka wydawać mogło, ale połączone jest z załatwieniem różnych innych czynności, n. p. odbieraniem książek wypożyczonych, wynagradzaniem szkód itp., tak, że szkoła ma wtedy wygląd jarmarczny, co też nie licuje ze spokojem i powagą dnia świętego.

Czas pomyśleć o zakładaniu prywatnych szkół średnich katolickich, bo z publicznemi trudno dojść do ładu. Syzyfowa praca. *Jeden z katechetów.*

Wspomnienie pośmiertne.

Ś. p. X. Władysław Kochowski.

(Dokończenie).

W Konsystorzu jako radca i referent, w sądzie małżeńskim jako sędzia, nadto jako dziekan dekanatu dobromilskiego — zawsze roztropny, stojący ściśle na stanowisku prawa, w pracy niezmordowany.

Jednak nie sama tylko przemyska dyecezya miała być polem pracy ś. p. X. Kochowskiego; w roku 1912, po ustąpieniu X. prałata Potulickiego, pierwszego rektora Hospicyum polskiego w Rzymie, został jego następcą mianowany przez Ojca św. Piusa X. na przedstawienie XX. Biskupów galicyjskich. Nowe obowiązki, pełne odpowiedzialności, zastępstwo spraw rozlicznych prawie wszystkich dyecezyi polskich w Kongregacyach rzymskich, co więcej nieraz wprost zastępowanie interesów Polski wobec obcych nie znalazło go nieprzygotowanym. Było wiele sposobności, w których okazał niepoślednie zdolności dyplomatyczne.

Wśród wychowanków Hospicyum, kapłanów ze wszystkich niemal dyecezyi polskich, zyskał sobie dla swego taktu, miłości, troskliwości, jaką im okazywał na każdym kroku, rzetelną miłość, przywiązanie prawdziwe. Ulubiona myśl Zmarłego, pielęgnowanie książnic i tu Go nie opuszczała; bibliotekę Hospicyum pomnożył znacznie, zaczął porządkować, sporządzać katalogi.

W tym czasie został prałatem domowym Ojca św.

Niestety — groza wojenna nie ominęła i cichego ustronia naukowego przy ulicy Cavallini w Rzymie. W maju 1915 r. poddani austryaccy i niemieccy otrzymali nakaz opuszczenia Rzymu.

Ś. p. X. Kochowski już wówczas poważnie niedomagał; nękała Go uporczywa malarya. Dla poratowania zdrowia udał się do Davos, potem do Wörishofen, wreszcie pod jesień 1915 wrócił do kraju. Chociaż stan zdrowia prawie z każdym dniem pogarszał się,

bo jak się okazało, zaczął się formować nowotwór na śledzionie, chory nie stracił ani swego spokoju, — a świadom był swej choroby, bo najskrupulatniejsze rozporządzenia pozostawił w swej ostatniej woli — ani zapału do pracy.

Już poważnie chory, prawie w oczach niknący, rozpoczął pisać historyę seminaryum duchownego w Przemyślu; przebierał obfity materyał źródłowy w archiwum konsystorskiem, kapitulnem i seminaryjskiem, w archiwum XX. Misyonarzy w Krakowie, wszystko uporządkował i pozostawił rzecz, zakrojoną na książkę poważnych rozmiarów — prawie na ukończeniu. Pracował do ostatnich chwil, dopóki — na kilka dni przed śmiercią — niemoc nie wytrąciła Mu pióra z ręki.

Nie pierwsza to była Jego praca literacka; pozostawił cały szereg rozpraw, z których jedne okazały się jako artykuły w „Kronice dyecezyi przemyskiej“, inne jako osobne broszury. Podaję je w porządku chronologicznym:

1. O synodzie dyecezalnym (Kr. d. przem. rok 1901 str. 294 nast. i 1902) rzecz obszerna, opracowana źródłowo, jako przygotowanie do synodu z r. 1902.

2. O Chrzcie św.; przepisy prawa kościelnego i świeckiego w Austryi. Przemyśl 1905.

3. O Mszach manualnych; komentarz do dekretu św. Kongregacyi Soboru „De observandis“ Przemyśl 1906.

4. Rozdział Kościoła i państwa we Francyi (Kron. d. przem. 1906. szereg artykułów); osobno w streszczeniu jako odczyt, odbitka Lwów 1907.

Oprócz tych napisał parę mniejszych rozpraw, jak komentarz do dekretu *Ne temere* w aktach przemyskiej Kongregacyi dyecezalnej z r. 1908; referat „Walka z pijaństwem“ na kursie społecznym w Przemyślu r. 1907 (Kron. d. przem. 1908 str. 277 nast.); ta sama rzecz w broszurze „Precz z alkoholem“, liczne odpowiedzi w kwestyach prawa kanonicznego, zamieszczone w Kronice dyecezyi.

W rękopisie pozostała — jak wspomniałem — historya seminaryum duchownego w Przemyślu: Zmarły miał również zamiar wziąć udział w zapowiedzianej przez Arcypasterza dyecezyi historyi pojedynczych jej parafii; rozpoczął zbierać materyały do dziejów swej parafii rodzinnej [1]).

Lekarze pod koniec roku 1916 wskazali choremu Karlsbad; wyjechał tam z początkiem stycznia tego roku; po powrocie znać było pewne polepszenie, ale były to już resztki tego ognia, którym gorzało serce człowieka na zewnątrz zawsze spokojnego, zrównoważonego, resztki tych sił, których używał zawsze dla celów najpiękniejszych. Chorobie mimo cierpień, przez które przechodził, a na które nigdy się nie skarżył, nie poddawał się; jeszcze w niedzielę 4. czerwca, na dwa dni przed śmiercią, był w stallach katedralnych, by nie zaniedbać obowiązków kanonika.

We wtorek 6. czerwca wieczorem — nie po raz pierwszy w swej chorobie — pojednał się z Panem Bogiem; zasnął na wieki cicho, prawie niespodziewanie wieczorem po dziesiątej. Jeszcze niedługo przed skonem prosił, by Mu przyniesiono Komunię św. na drugi dzień rano; Pan Jezus zarządził inaczej — może dusza ta godną już była, by oglądać Go bez zasłon sakramentalnych.

Na określenie charakteru ś. p. X. Kochowskiego nie trzeba wielu słów — był to w znaczeniu starorzymskiem vir — tak, vir, ale zarazem w pojęciu św. Pawła *Homo Dei, vir ecclesiasticus*, mąż, żyjący życiem Bożem, dla Boga, dla Kościoła. Był kapłanem, *sacerdos*, prawdziwie *sacrum dans*, bo cały oddany był Bogu i tylko Bogu, a w Bogu służący duszom, które do Boga pragnęły się garnąć; Kościół św. kochający, jako dziecko najwierniejsze, w Jego dziejach rozmiłowany, praw Jego stróż i obrońca niezłomny.

To nie przeszkadzało, że dla matki, która Go przeżyła, był synem najtkliwszym, najlepszym, bo przecież kapłaństwo, pojęte po Bożemu, miłość dla najbliższych, a zwłaszcza dla matki, tylko uświęca, tylko podnosi, potęguje.

Zmarły — to była prawdziwie nadto *anima candida*, by użyć określenia z tych dziejów Kościoła katakumb, tak ukochanych przez Niego; stanowisko, wiedzę, godności umiał łączyć z prostotą, w każdym Jego czynie przebijała dusza jasna, piękna, pełna pogody chrześcijańskiej. Dla siebie surowy, sił swoich, choć nie bardzo mocnych, do ostatniej chwili nie szczędził, bo, jak mówił do piszącego te słowa, życia nam nie wolno pojmować jako zabawki. Ilekroć nawiedziło się Jego skromne pomieszkanie, zawsze znachodziło Go się przy pracy, pochylonego nad stosami papierów, otoczonego książkami. Gdy był rektorem Hospicyum, proszono Go, by oszczędzał swe siły niewielkie i więcej dbał o siebie: odpowiedział, że nie wolno mu się w niczem co do domowego porządku, pożywienia wyróżniać od wychowanków Hospicyum. Zdawał się zapominać, że oni — ludzie młodzi, pełni zdrowia i sił, gdy On potrzebował czego innego. Gdy zaniemógł w styczniu 1914 dosyć ciężko na influenzę, a raczej dostał ataku silnej malaryi, polecił kto inny służącemu na własną rękę, by podniósł temperaturę kaloryferów, rzecz tak konieczną dla chorego, bo sam o tem nigdyby nie był pomyślał.

Pracował na ojczystym łanie po parafiach dyecezyi, pracował w jej stolicy, zaznaczył swą wybitną indywidualność w tej polskiej placówce w Rzymie, w polskiem Hospicyum — poszedł do Pana — po niedługiem życiu, ale po zasłużoną nagrodę.

Ludzie ocenili zasługi Zmarłego, gdy — nie mówiąc o duchownych, — świeccy wzięli ogromnie liczny udział w przeniesieniu zwłok z domu do katedry, w piątek, 8. czerwca popołudniu i w sobotę rano. Przeszło sześćdziesięciu kapłanów wzięło udział w pogrzebie; Kapituła przemyska ob. gr. brała udział i w piątek i w sobotę. W sobotę Mszę św. odprawił w katedrze X. prałat Wojtowicz; na cmentarz szli: Rządca dyecezyi X. Mitrat Wołoszyński, XX. prałaci Podoliński, Mryc, Zubrzycki z liczną asystą; Kapituła lwowska przysłała dwóch delegatów X. Inf. Zajchowskiego i X. kan. Librewskiego, nadto ze Lwowa przybyli X. dr. Tarnawski, prof. uniwersytetu i X. dr. Szurek, wicerektor Hospicyum, obecnie Ojciec duchowny lwowskiego Seminaryum duchownego; z Tarnowa przybyli X. kan. dr Mysor i X. prof. Stach; krakowskiej Kapituły delegat w ostatniej chwili musiał przyjazdu zaniechać.

Sobota, dzień N. Maryi Panny, był dniem pogrzebu ś. p. X. Kochowskiego; po sumie odprawionej przez J. E. X. Biskupa Pelczara odprowadzili Jego zwłoki na wieczny spoczynek: N. X. Biskup Fischer, który w Dobrzechowie kierował pierwszymi Jego krokami w praktycznem życiu pasterskiem, X. Inf. Łękawski, rektor seminaryum, wówczas wicerektor, X. Inf. Stachyrak, Jego w latach seminaryjskich Ojciec duchowny i spowiednik. Przed wrotami cmentarza czekał JE. X. Biskup Pelczar, który zwłoki odprowadził do grobowca Kapituły.

Duszo jasna, piękna, spoczywaj w pokoju — Pan z Tobą!

X. Momidłowski.

Ksiądz w „Chłopach“ Reymonta.

Może nie od rzeczy będzie podać krótką wiązankę rysów, jakie wykazuje typ księdza (wiejskiego), skreślony ręką utalentowanego zresztą pisarza W. Reymonta.

Nie możemy się na to zgodzić, by wolno było autorowi obniżać dla jakichkolwiek powodów powagę przedstawicieli stanu kapłańskiego.

Ze względu na poczytność wspomnianej powieści — kwestya nie przestała być — aktualną.

Tom I. Ksiądz — gospodarce bardzo oddany. Więcej go obchodzą siwki niż brewiarz. — Dobry jest bardzo...: „na brzuch se nie pluje, ani drugiemu na brodę, a co mu kto da, to weźmie“. — Jagustynka powiada: „gospodyni mu lepiej pilnować, bo z trzeciem chodzi i znowu gdzie zgubi“... — Nie bardzo broni pokrzywdzonych, pociesza ich tylko, że P. Jezus wynagrodzi im te krzywdy. Sam wyzyskuje Kubę „kulasa“, biednego służącego, któremu za kuropatwy, zające, ubite przezeń, licho płaci. — I wymyślił skądś autor, że na zaduszki proboszcz, organista i kościelny beczki stawiają przed kościołem, a „każdy, nim wszedł na cmentarz, wyciągał z tobołka chleb, to ser, to źdźiebko słoniny albo kiełbasy, to motek przędzy lub też przygarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek“...

---

[1]) W Gaz. Kość. zamieściliśmy kilka Jego wybornych korespondencyi, przesłanych nam z Rzymu w czasie, kiedy był tam rektorem Hospicyum polskiego. *Dop. redakcyi.*

Przychodzi po poradę Antek, Borynów syn, a ksiądz każe mu szukać z innymi kobyły, co mu gdzieś właśnie zginęła. Antek mruczy pod nosem: „Juści i kobyły szkoda..., ale człowiekowi powinna być pierwszyzna“.. A potem po drodze powiada do siebie: „Albo i ten ksiądz! Do roboty go będzie zaganiał! Hale! sam nic nie robi, frasunku nijakiego ni turbacyi żadnej nie ma, to łatwo drugich poganiać“...

Kowal powiada o proboszczu: „Uczony, jak wziąć trzeba, ale nie kiej co dać komu“.

Prosili Jegomościa na wesele starego Boryny, „powiedział, że może przyjdzie... ta czego nie, bo to młoducha nie urodna“..

Taki wyszedł ksiądz z tomu I. (r. w. 1904). Autor nie znalazł żadnego dodatniego rysu do typu wiejskiego kapłana..

Tom II. A przy tem wszystkiem postawił go gdzieś tak daleko po za biedą i życiem codziennem biedaków, że tylko wyrzut przeciwko niemu cisnąć się musi na usta.

Na ambonę jak wyjdzie, to uderza tylko jego „czerwona, groźna twarz“ — i krzyczy a rękami wywija.

„Po kolendzie“ chodzi, ale mechanicznie załatwia te odwiedziny pasterskie. — I jeszcze raz daje się poznać (z okazyi „kolendy“ u starego Boryny), że słuszności nie rad broni, ale lawiruje, a przy tem wierzy ubocznym podszeptom i to „babskim“ (Dominikowej). —

Nawet poczciwy stary Roch, opowiadając różne „historye“ wieczorami zimowymi, księdzu nie przepuszcza. Przedstawia n. p., jak ksiądz z P. J. nie chciał do jednego grzesznika iść; powiedział tylko: „co P. Bóg opuścił, dyabli zabrać muszą, nic tam już po mnie... — i pojechał na karty do dworu“. (T. II. str. 284. r. w. 1906). — Ale zjawia się M. Boska i pociesza żonę umierającego, a o księdzu powiada: „Łajdus on jest, o naród niedba“... i t. d. Wyciąga proboszcza M. Boża wreszcie podstępem do chorego, — a potem każe mu zamienionemu w kamienną figurę klęczeć i pokutować u drzwi kaplicy.

Tom. III. — „Za pieniądze to i ksiądz litościwy“ — ; powraca znów autor do ulubionego tematu w tomie trzecim (r. w. 1906. str. 103).

Gdy burza Stachom chałupę rozwaliła, gdy Weronka od żałości i płaczu się zanosi, — ksiądz zażywa tabakę, pociesza zimno i do miłosierdzia „dobrych ludzi“ odsyła, a ręce bezradnie rozkłada. Wreszcie po długim namyśle Mszę na intencyę nieszczęśliwych bezinteresownie odprawić obiecuje.

Żeby go (przy każdej sposobności) ośmieszyć, wtrąca tutaj autor, że proboszcz przed psem ujadającym za baby się chował (str. 137), — a ręce oczywiście obie do całowania na pożegnanie wyciągnął. Ale rehabilituje go nieco przecież, bo powiada, że zamówił gospodynię jedną bogatszą, by Stachów na komorę przyjęła, a sam im aż trzy ruble posłał przez nią, tak że Weronka papierek całowała a dobroci nadziwować się nie mogła!...

Znów z racyi Świąt Wielkanocnych natknąć się musiał autor na księdza. Oczywiście — nie wyszedł on i teraz cało. Chłopakowi u Boryny daje miedzianą „dziesiątkę“, którą ten córce gospodarskiej ze złością pokazuje. — (Wychodząc po „święceniu“, dodatkowo.. grozi wyrzuceniem z kościoła, gdyby i t. d.))

Rzepeckim przy gromadzie całej wyrzuca publicznie, że dawać na Mszę nie skorzy. (Tom III. str. 258).

Na procesyi „w oktawę św. Marka“ gada na dobre z wójtem i nie barz modlitwą się para.

Wnet znów odmówi mu autor roztropności pasterskiej i powie (str. 441.): „Przykarcać głośno i na drugie kamieniami frygać to każden sprawny... jeno złemu przeszkodzić niema komu“...

Wójta nie skarcił, bo — wójt.

Tom IV. Zaraz na początku tomu IV-go znów sponiewierał autor proboszcza. Bo chyba tak trzeba to określić, jeśli się go przedstawi zajętego swym „wspaniałym“ stadnikiem — w czasie tegoż „popisów“... kobiety, które przyszły godzić w tym czasie pogrzeb, odprawia krótko i opryskliwie.

Wszystkie tajniki księżej psychologii zna — niby — autor, nie zna zaś elementarnych przepisów co do obrzędów kościelnych najgłówniejszych (por. T. IV. str. 30).

A jaką to mowę prawi proboszcz nad zwłokami Boryny? — „Ale pomarł nie wszystek“ — jak mówi Pismo św. (sic!) Tak cytuje Horacego „non omnis moriar“. — Używa zaś tego rodzaju kwiatków, jak: „psy wściekłe i te świnie smrodliwe“, „pogany te pieskie i chrystobije“ i t. p. — Dwa razy w tej mowie pogrzebowej upomina się o krzywdy „na księżem“.

Po nabożeństwie żałobnem za duszę Boryny wmawia się krewnym, by na światło, kościół przeznaczyć nie zapomnieli.

Z okazyi robót polnych (str. 112) widzimy proboszcza wśród najemników, jak „prawie całkiem rozdziany, w portkach jeno a w słomianym kapelusie“...

A kilkanaście stron dalej czytamy: „Sporo narodu latoś wybiera się do Częstochowy. Organiścina pono idzie i powiada, co sam proboszcz poprowadzi kompanię! — A któż mu to poniesie brzucho —.. Sam go nie udźwignie przez tylachny karwas drogi“. (str. 126).

Wieczorem odmawia proboszcz pacierze a przy tem koni pilnuje pasących się, ale nie broni, gdy idą na cudzą koniczynę. — Zbliża się doń wtedy Antek Boryna po poradę; — kapitalnie śmieszny w jej udzieleniu.

Dodać do tego trzeba uwagi na temat „księżej gospodyni“ skąpe a wiele mówiące, a całość obrazu będzie dość wypukłona.

Jak z jednej strony trzeba przyznać autorowi sporo talentu w zrozumieniu psychiki chłopskiej, odczuciu tła, obrazowaniu, charakterystyce namiętności, — tak z drugiej strony musimy mieć żal do niego, że kler wyszedł z powieści sub specie — karykatury, czasem bardzo przykre czyniącej wrażenie...

Scripta manent... Baczmy, by te kartki Reymonta nie dodawały fermentu, tak łatwo przyjmującego się obecnie — w tym kierunku...

X. H. Mielecki.

Bibliografia.

Pieśń o Krakowie. Świeżo ukazał się w handlu księgarskim poemat narodowy na tle Legionów p. t. „Pieśń o Krakowie“ pióra Leopolda Kronenberga, autora śpiewek żołnierskich. „Pieśń o Krakowie“ przedstawia pamiętne chwile roku 1914, kiedy to tam zaczęły się tworzyć Legiony polskie do walki z caratem. Poemat jest dalszym ciągiem wydanego przez tegoż autora poematu epicznego p. t. „Rada w Szczepanowie“. Odznacza się tendencyą bardzo szlachetną i patryotyczną, ale jest to raczej rymowana proza niż poemat. Cena egzemplarza 60 hal.; zamówienia przesyłać można pod adresem: L. Kronenberg, Krosno. *P.*

Z LITERATURY LEGIONOWEJ.

I.

Juliusz Kaden — Bandrowski. **Spotkanie**. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. 1917. 8-ka. str. 284.

Bodaj czy nie najpłodniejszym ze wszystkich nowelistów legionowych jest autor omawianej książki. Po „Piłsudczykach“, „Bitwie pod Konarami“ i „Mogiłach“ czwarty to już tom daje na tle wojny wszechświatowej i współudziału w niej naszych legionów. Rzeczy, objęte wspólnym tytułem „Spotkania“, dadzą się podzielić na dwa rodzaje. Pierwszy z nich — to migawki, kreślone na prędce w polu pod wrażeniem pewnego wydarzenia. Stąd też i charakter ich więcej, że się tak wyrażę, dziennikarski. Rodzaj drugi — to sześć nowel, osnutych na tle tytanicznych zmagań się dwu idei. A we wszystkich tych utworach o bardzo nierównej wartości czuć jedno, to, że ich autor jest żołnierzem, opanowanym jedną jedyną myślą, którą się nie gorszy, co więcej, drugich do niej ośmiela:

— „Z chciwą radością — woła — słuchaj jak w rozjuszonej twej piersi czeka drapieżnik uparty i knuje miłą zemstę. Bo zemsta na wrogu z Północy niesie ci świetne Południe! Więc wszystko, co jest myśli rarytasem, krzywizną, wyszukaniem, a nawet gwiazdą, rzuć! Rzuć wszystko, coby nie było szczerą prostotą szeregu!...

I niech w nim huczy twój śmiech rycerski, iżeśmy rzucili wszystko, by kośćmi wroga grać w kości“...

Ten rozpęd junacki tętni poprzez wszystkie nowelki czy obrazki migawkowe, zawarte w „Spotkaniu“, oparty o obserwacyę bystrą i trafną. To też w „Defiladzie“ „wytacza się, rozwija ze zwoju dalekiego Tobie Ojczyzno, pod nogi posłanie niebieskie, mocnego sukna postaw wyborny — Pierwsza Brygada“! I widzimy jej żołnierzy w podniebnych chmurach kurzu, sprężyną wichru ściśniętych, biczem mrozu chłostanych, jak podchodzą w złotych falach, w chrzęście, w łomocie — gęste werble sypią się twardem ziarnem, jak suchy pieprz... w kurzawie błoń, pod nieobjętem skrzydłem wiosny i śmierci.

Takimi maluje autor żołnierzy polskich w „Rocznicy czwartaków“, w „Naszych ułanach“, w „Bitwie pod Kołodziejami“ czy „Oficerskiej tyralierze“. Osobne ustępy poświęcił majorowi Wyrwie, kapitanowi Sławowi i Aleksandrowi Sulkiewiczowi. Dział ten migawek wojennych kończy obrazek, przedstawiający rozdanie odznaki legionowej „Za wierną służbę“.

Czy jednakowoż impresye powyższe, które były już zresztą drukowane w czasopismach peryodycznych, mają zalety tak wielkie, iż zasługiwały na uwiecznienie w książce osobnej? — godzi się zapytać wobec coraz to większego rozwielmożniania się literatury wojennej u nas. Otóż z przykrością przychodzi nam wyznać, że lepiej byłoby dla „Spotkania“, gdyby większej części powyższych migawek nie spotykało się na czele „Spotkania“. To bowiem, co miało pewną wartość czysto dziennikarską, publicystyczną, w danej chwili, razić musi w książce, skoro nie zostało wcale pogłębione. Byłaby zyskała na tem przedewszystkiem książka sama przez umniejszenie objętości, a ponadto do nowel, zawartych w części drugiej książki, nie byłby czytelnik przystępował z pewnego rodzaju uprzedzeniem, spowodowanem zawodem, jakiego doznaliśmy w migawkach.

Część drugą rozpoczyna szkic p. n. „Brat“, bodaj-że najsłabszy ze wszystkich rzeczy, zamieszczonych w części drugiej, bo i sama instynktownie wybuchła miłość bratnia wyszła jakoś nadto blado. Natomiast przepyszny jest stary Baniecki w noweli p. t. „Spotkanie“, kiedy nietylko nie uchodzi ze dworu swego wiejskiego przed nawałą wojenną, lecz podejmuje po staropolsku legionistów, co zdołali się już byli przejechać po karkach kozackich, a na pożegnanie ofiaruje dowodzącemu nimi rotmistrzowi sztandar powstańczy z amarantowego jedwabiu z białym orłem w pośrodku, przechowywany święcie przez szereg lat przed okiem Moskali.

Nie mniej charakterystyczny jest obrazek króciutki, ale nadzwyczaj wymowny p. n. „Rdza“, w którym autor szkicuje świetnie kilku pociągnięciami pióra legionistę Sobczyka, który podczas odwrotu nie chce za nic opuścić swego posterunku, na którym go Piłsudzki na straży postawił. Dopiero trzeba było mu przemocą odebrać karabin, ażeby zaczął biedz w tył szybko, ślizgając się w glinie. Dębowe liście padały z munduru jego na ziemię, jak krwawe łzy ogromne, jak rude strzępy rdzy, — jak żywe rany...

A już wprost kapitalny jest „Sąd“, skazujący zdziecinniałego starowinę Kubę na śmierć za to, że pod razami żołnierzy rosyjskich wskazał im drogę naprzód. Psychologia tego sądu odzwierciedla się wybornie w słowach starowiny: — „Biły me!!! zapłakał nagle gorzko, twarz kryjąc w szmatach.

— Czemuś się dał?! — żołnierze wzruszyli ramionami“.

Sylwetka tego starowiny, Bogu ducha winnego, a oskarżonego o szpiegostwo i porozumienie z nieprzyjacielem, jest bajecznie skreślona, z taką prawdą życiową, że o większą nawet kusićby się niepodobna.

Ostatnia w omawianym tomie nowela p. n. „Przygoda“, napisana z zacięciem batalistycznem, jest naogół niedociągnięta w tonie. Łamie się coś w jej konstrukcyi, że ma się wrażenie, jakoby w pomyśle autora nastąpiło również przełamanie koncepcyi z góry inaczej obmyślanej. *Dr. Stanisław Zdziarski.*

Słów parę o praktycznej lampce wiecznej.

Jest nią niezawodnie lampka firmy *Dr. Höhn, Ulm, a D. Ewiglichtlampe*, — wszak o tem poucza doświadczenie prawie całoroczne. Ponieważ w teraźniejszych czasach oliwa jest prawie niemożliwą do nabycia, przeto za pozwoleniem Ordynaryatu ob. łac., wydanem zeszłego roku, wolno używać do wiecznej lampki nafty. Lampka jest do tego skonstruowaną w sposób prosty lecz praktyczny.

Zalety jej są następujące:

1. Oszczędność w użyciu nafty, gdyż 1 litr może wystarczyć na 3 tygodnie. Kosztuje ona wraz ze szkiełkiem zapasowem i przesyłką około 26 kor., ale wnet się wypłaci.

2. Szkiełko barwy czerwonej, lub zielonej rzuca miłe dla oka światełko na kościół.

3. Lampka ta bardzo mało wydaje czadu, tylko trzeba raz na dzień lub na dwa dni obetrzeć osad spalenizny z knotka i nalać świeżej nafty, od której jakości zależy dużo, gdyż lampa często gaśnie, jeżeli nafta jest licha.

Dawniejsze zaś lampki oliwne wydawały wiele czadu i swądu w kościele, zatruwając powietrze, nadto bardzo często gasły z powodu niepraktycznych knotków. Wprawdzie i w urządzeniu niniejszej naftowej lampki przydałby się jeszcze odpowiedni zwieracz do podkręcania i skręcania knotka, by tej czynności nie trzeba palcami wykonywać, ale mimo tego braku, zasługuje ona całkowicie na polecenie.

X. Stan. Stankiewicz
prob. w Bursztynie.

Wiadomości dyecezyalne.

Dyecezya przemyska.

Odznaczony rok. i mant. X. Władysław Kisielewicz, prob. w Staromieściu, exp. can. X. Antoni Sobczak, prob. w Miejscu Piastowem.

Instytuowany na prob. w Urzejowicach X. Paweł Domin, prob. w Myślatyczach.

Przeniesiony X. Władysław Bachota, wik. w Łętowni, do Żołyni.

Zmarł. X. Piotr Masny, gwardyan OO. Bernardynów w Dukli.

Korespondencya Redakcyi.

X. Dr. B. w Pł. i *X. W. P.* Bardzo dziękujemy! Zamieścimy w najbliższych numerach.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Czeżyńskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.